

*Nie ma ludzkich dziejów bez wkładu bóstwa.  
Choć śmiertelne serca lubują się w mroczne gusta,  
To nawet one potrzebują wyjaśnień spora.  
Więc powstała dawien laty temu ludzkiej wyobraźni podpora.*

*Bóstw dwanaście na najwyższym szczycie Romy,  
Olimpem zwą te niebiańskie progi.  
Mimo iż śmiertelna stopa tam nigdy nie stanęła,  
Zakazy te nie dotyczyły nieba.*

*Wiecznie żyjące istoty biernie śledziły ludzkie losy.  
Moc nieskończona, jednak czas płynie jak spokojna woda.  
Niebiosy z początku ucztujące z wolna przekonały się,  
że egzystencja ta mozolna.*

*I tak się zaczęło zainteresowanie ludźmi.  
Istotami bez futra i kłów, niby nierozróżniających słów.  
W środku zaś pomysłów tysiąca,  
Umysł sprawnie działający, wszystko kalkulujący...*

\*\*\*

Przestałem liczyć dni egzystencji, gdy po raz ostatni przyszło mi usłyszeć własne imię z ust drugiej, podobnej mi istoty. Było to lata temu. Choć od zawsze zdawałem sobie sprawę, że z panteonu głównych bóstw greckich już na samym wstępie zostałem wykluczony, status

wyrzutka pozostawił gorzki posmak w moim sercu oraz duszy. Zostałem potraktowany niczym boski zdrajca. Zrzucony z Olimpu z wrzaskiem wypisanym na twarzy, któremu wtórowały śmiechy pozostałych. Przekłęci bogowie i ich święty autorytet.

Opuszkam palca wodzę po delikatnym płatku czerwonego kwiatu, służącego mi za jedyne go towarzysza w opuszczonej przez światło słoneczne krainie. Czerwony, jakież to piękny kolor. Ludzkim istotą kojarzy się z obdarowaniem samicy, bądź samca uczuciem dla mnie obcym. Zwią je miłością. Emocja wprawiająca bijące serca w zagubienie, szaleństwo i adorację. Przyczyna rodzących się z każdym następnym dniem coraz to nowszych odczuć. Ja jednakże w czerwieni widzę coś innego, cuchnącego i gęstego. Krew. Płyn, który budzi strach w oczach istot obdarzonych rozumem, a także rządzą mordu pośród tych, których zdrowy rozsądek opuścił. Potrzebę zabicia i ujrzenia czerwieni cieknącej z rany, która z biegiem czasu przeradza się w brudny brąz.

Wiem to, bo nigdy nie zamykam oczu. Być może to dlatego nie potrafili znieść mojego widoku w niebie? Podchodzę do sadzawki muskając łaskoczące moje tydki płatki czerwieni. Wpatruję się w prąd rzeki i dostrzegam w nim objającą się ruchomą sylwetkę księżycy. Gdyby nie jego poświata i światło gwiazd tworzących odległe drogi mleczne oraz galaktyki mój mały świat byłby całkowicie ciemny. Zupełnie jak moje czarne, bezdenne oczy. *Jakby ciemność znajdująca się w moim wnętrzu swe ujście upatrzyła w oczach.* Kpię sam z siebie, bo cóż mi pozostało? Sięgam po najbliższej leżącej kamień i rzucam nim w rzeczkę, wzburzając przy tym jej spokojny nurt.

Zrywam kilka maków, znajdujących się w zasięgu moich dłoni i powtarzam sobie to co zawsze – jestem najpotężniejszym istniejącym bóstwem. Po czym to stwierdziłem? Kilka stuleci to wystarczająca ilość czasu, aby dokładnie przeanalizować wszystkie etapy przeżytego do tej pory życia. Każdego dnia, który tutaj wygląda tak samo, poświęciłem czas na przemyślenia. Dlaczego zostałem zapomniany? Tak jest dla Zeusa i pozostałych łatwiej. Dlaczego ja? Jestem bogiem snu oraz marzeń sennych. Czy jestem drugim Narcyzem, uważając się za najpotężniejsze bóstwo stąpające po ziemi? *Cha, cha, żartuje.* Nie stąpam po ziemi, ale to pierwsze się zgadza.

Miażdżę maki w ręce. Bogowie się mnie boją. Mój dar budzi w nich strach. Uśmiecham się sam do siebie.

-Boją się, bo znam ich sekrety. -mój głos wypełnia ciszę.

To prawda. Jestem wszystkim. Kochankiem trzymającym w ramionach zbuntowane przeciwko swym rodzicom dziewczę. Ptakiem szybującym nad morzem, czującym jego słońcą bryzę w niosących mnie w dal skrzydłach. Koszmarem posiadającym kły i pazury czyhające

jedynie, aby wbić je w ludzkie serca i sprawić, że obudzą się oni z mojego królestwa z wrzaskiem i strachem wypisanym na twarzy.

Tym właśnie jestem. Trwającym w nieskończoność cyklem, którego nikt, nawet ojciec ludzi i bogów, potężny Zeus nie jest w stanie powstrzymać. Nie muszę przywoływać w mej dłoni pioruna i ścisnąć go ze złością, aby pokazać słabszym istotą do kogo należy największa część władzy. Jestem jednością nocy, wędrowcem, którego podróż nigdy nie dobiegnie końca. Uchodzę za jedyne go świadka, pogrążonej we śnie istoty. Jakże bezlitośni są wtedy ludzie, niczym ptaki próbujące wydostać się na wolność, ale to jedynie sprawia, że zaciskam je mocniej w dłoni. Samotni, pozostawiają swe ziemskie ciała i poddają się uczuciu zmęczenia, a wtedy ja triumfuję. Wyłaniam się spod zasłony snu i przyjmuje dowolną twarz.

Jestem aktorem, którego spektakle zawsze się od siebie różnią. Jeśli taka moja dola, niechajże będę tym złym, zapomnianym bogiem. Jednakże mam coś czego nie posiada nikt inny – dostęp do wszelakich sekretów.

Maki w moich rękach przybrały postać czerwono-czarnego proszku. Uśmiecham się, nastąpiła moja ulubiona część. Pora odwiedzić ludzkie i boskie sny, przypomnieć tym głupcom, że gdy zapada noc, sen triumfuje.

\*\*\*

Gdy ponownie otwieram oczy, przede mną rozciąga się kraina tysięcy małych, tłących się płomieni. Znajduję się w krainie snów. Nieistotne jak wiele razy przyszło mi zobaczyć ten zapierający dech w piersiach widok, nadal jestem oszołomiony. Przestrzeń, w której się znajduję, nie ma końca - przynajmniej nigdy nie było mi dane go ujrzeć. Przechadzam się pośród śpiących istot. Niektóre z nich wydają się strzelać iskrami na mój widok.

Przeszywa mnie dreszcz ponurej satysfakcji. Może i nie pamiętają mojego imienia, ale koszmary, w których maczałem swoje palce, owszem.

Po wielu godzinach spędzonych w tym miejscu, zdałem sobie sprawę z kilku faktów. Pierwszym z nich jest barwa małych ogników - wszystkie są w tym samym kolorze. Gdy po raz pierwszy dokonałem tego odkrycia, przeżyłem swego rodzaju szok. My, bogowie Olimpu, istoty obdarzone nieskończoną mocą i nieśmiertelnością, świecimy tym samym kolorem co ludzie – bielą. Mówiąc prościej, jesteśmy sobie równi. Śmiertelnik stojący na tym samym szczeblu co nieśmiertelne bóstwo. Czy to w ogóle możliwe? Na kły Cerbera, na samą myśl czuję wylewające się z mojego serca gorycz i obrzydzenie. Porównany do istot o tak słabych,

starzejących się ciałach, które z wiekiem zanikają, aby przemienić się w garstkę popiołu. Ohyda.

Nigdy nie przypuszczałem, że gdzieś tam, poza znanym mi od kilkudziesięciu laty światem, istnieje coś większego, być może silniejszego od mojej rasy. Ktoś, kto czuwa nad nami wszystkimi. Ujrzałem tę teorię w ludzkich snach pochodzących spoza obszarów znanej mi jedynie Romy. Czy znajduje się coś poza światem greckim? Czy istnieje Ktoś, kto sprawuje pieczę nad nami wszystkimi? Dlaczego ludzkie istoty śnią o jedynym stwórcy oraz są gotowe zginąć dla świadectwa swojej wiary? Nie wiem.

Nakazuje uciszyć się myślom w mojej głowie. Na to przyjdzie jeszcze pora, teraz muszę się skupić. Dotykam lepkimi od soku palcami jednego z płomieni i przenoszę się do świata snu.

\*\*\*

*Otwieram oczy oraz automatycznie marszczę nos, czując cuchnący odór wina. Błagam, tylko nie to. Jestem kielichem wypełnionym po brzegi napojem, którym od wieków szczycą się bogowie – ambrozją. Jednakże, poza ukojeniem, które przynosi bliskość zapomnianego przez moje kubki smakowe boskiego nektaru, jest jeszcze spocona ręka zaciśnięta szczelnie na nóżce przedmiotu, w który się przeobraziłem.*

*-Niech mnie piorun Zeusa trzaśnie, jeśli nie jest to najlepsza rzecz na świecie!! -donośny głos wprawia nektar znajdujący się w kielichu w wibracje.*

*Przeklinam w duchu Mojry. Ze wszystkich, znajdujących się na Olimpie bogów, trafiłem na zadufanego w sobie pijaka, który nie widzi świata poza nagimi, kobiecymi ciałami i alkoholem. Dionizos, bóg wszelakich rozrywek i winorośli. Znany przede wszystkim ze swojego pijaństwa. Nie przypominam sobie momentu, w którym dane mi było ujrzeć go zupełnie trzeźwego. Dałbym sobie rękę uciąć, że zasnął tylko i wyłącznie dlatego, że wypił zbyt dużo.*

*Czuje jak Dionizos przechyla kielich ku sobie oraz wypija całą jego zawartość jednym haustem. Nie narzekam jednak. Po wielokrotnych próbach, uświadomiłem sobie, że jedynie nieliczni bogowie pozwalają sobie na sen. Nigdy nie natknąłem się na śniącą Atenę. Mimo zżerającej mnie od środka ciekawości dotyczącej sekretów, które może w sobie kryć, ulubiona córeczka Zeusa, darzę ją respektem. Jest mądra. Kto by pomyślał, że bogini mądrości ma za nadto wiedzy? Och, Morfeuszu, jakiś ty zabawny.*

*Jednak to prawda, Atena nigdy nie pozwoliła sobie na wydanie najcichszego, pełnego pogardy parsknięcia, skierowanego w moją osobę. Dlatego odwzięczyłem się jej tym samym.*

*Nie lubię szarookiej, choć muszę przyznać, że stoi dwa szczebelki wyżej od pozostałych. No, dobra, przesadziłem. Jeden szczebelek wyżej.*

*Dosyć tej hulanki. W myślach formuję obraz niekończącego się morza krwi. Przywołuję twarze ludzkich istot, którym kiedykolwiek udało się poruszyć serce Dionizosa. Kilka twarzy wyłania się z morza krwi lamentując imię boga wina.*

*-Dionizosie, pomóż nam!*

*Drgnięciem najmniejszego palca, powoduje, że wino, które sprawia Dionizosowi tak wielką przyjemność wlewa, się do jego gardła. Obserwuję jak twarz boga czerwienieje, a oczy zdają się wychodzić z oczodołów. Z jego ust wyrywa się urwany bulgot, walczy zawzięcie, jednak ja również potrafię być uparty. Doceniam determinację walczącą z napastnikiem ofiary, jednakże jest to zbędne. Nie przerywam. Już od dobrych kilku sekund Dionizos usiłuje zrobić choć jeden, malutki oddech, ale nie jest w stanie. Wino ścieka mu po brodzie, którą zawsze tak bardzo się szczylił.*

*-Dionizosie! My umieramy! -okrzyki przepelnione bólem wywołują zamierzony przeze mnie efekt, w oczach Dionizosa pojawia się strach oraz smutek. Rozkosz jaką czerpię z jego bólu jest wręcz namacalna – wprawia moje serce w szybsze bicie.*

*Znad moich palców unosi się maleńki płomień. Niewinny płomyczek, który równie dobrze mógłby uchodzić za halucynację. Uśmiech rozświetla moją twarz, gdy jedna z iskier ląduje na brodzie Dionizosa i ogień zaczyna się rozprzestrzeniać, prosto ku wciąż wlewającemu się do boskiego gardła wina. Igrać z ogniem również się nauczyłem. Jeszcze kilka chwil spoglądam na swoje dzieło, delektując się panującą tu harmonią koszmaru, aby po chwili zostać wyrzuconym z powrotem do krainy ogników.*

\*\*\*

Dionizos się zbudził. Uśmiechając się, czuję stróżkę krwi płynącą z moich ust. Nie sądzę, abym w najbliższym czasie mógł oczekiwać jego wizyty w krainie snów. W królestwie, w którym panuje tylko i wyłącznie jeden władca, a jego imię brzmi Morfeusz. Podchodzę do kolejnego ognika i daję się ponieść w dalszą podróż.

\*\*\*

*Tym razem znajduje się na otwartej przestrzeni. Czuję wiatr targający moje włosy, które co chwila przystaniają widok, wpadając mi do oczu. Promienie słońca przyjemnie ogrzewają wszystko znajdujące się w ich zasięgu, w tym i moje plecy. Czuję, że przepelnia mnie uczucie wolności i szaleństwa. Do moich rąk przymocowane są skrzydła pozwalając ciału szybować. Doskonale wiem, gdzie przyszło mi się znaleźć.*

*Spoglądam zza siebie, na starca, który za pomocą skrzydeł, które sam skonstruował, również się unosi. Dedal. Geniusz, którego imię zna każdy Grek. Najwybitniejszy ludzki wynalazca i cudotwórca. Kwiat, który swym pięknem wzbudził chciwość pośród ziemskich króli, stając się równocześnie najbardziej pożądanym skarbem. Tak oto, został uwięziony na Krecie. Poprzez tak dobrze znaną nam, bogom, chęć posiadania tego, co wyjątkowe, jedyne w swym rodzaju.*

*-Ikarze, pamiętaj o tym, przed czym Cię przestrzegałem! -jego głos jest ledwie słyszalny dla moich uszu. Uśmiecham się szeroko pozwalając podmuchom wiatru ponieść mnie coraz wyżej i wyżej.*

*Kilkakrotnie rozważałem, czy któryś z wiatrów nie dołożył swojej cegiełki do śmierci Ikara. Być może Eol, na polecenie rozwścieczonego ucieczką Dedala, króla Minosa zrobił kilka, niewinnych podmuchów skierowanych w stronę młodzieńca? Kto tam ich wie, ludzie czy bogowie, co to za różnica. Obie rasy są samolubne i zepsute do szpiku kości, chcąc dbać wyłącznie o własne dobro.*

*Czuję jak wosk, który trzyma przyklejone do niego pióra zaczyna topnieć. Zerkam za siebie widząc pozostawiane przeze mnie pierze. Mimo, iż nie widzę wyrazu twarzy Dedala, doskonale wiem co wyraża. Trwogę. Zwracam się ku niemu i wykrzywiam twarz z przerażenia.*

*-Ojcze, co się dzieje?! -wrzeszczę na całe gardło.*

*Formuję sen, pozwalam aby niebo załata barwa czerwieni. Z morza wylaniają się głowy pięknych syren, które mimo swego zewnętrznego uroku wprawiającego niejednego mężczyznę w obłąd, wewnątrz są uzbrojone w zęby przeznaczone do wgryzania się w gardła swoich ofiar. Świat bywa brutalny dla wypływających na niespokojne wody marynarzy, którzy mieli okazję natknąć się na morskie bestie. Nie sądzę, aby przeżyli owe spotkanie.*

*-Ikarze, musisz wytrzymać jeszcze trochę! Nie poddawaj się synku! -jego głos przepelnia panika zmieszana z pełnym oddaniem, troską i miłością. Ma rozszerzone z przerażenia źrenice, zaczyna tracić nad sobą kontrolę – macha skrzydłami o wiele zbyt szybko.*

*-Ojcze! Zrób coś! Jesteś wynalazcą, musisz znać jakiś sposób! -upewniam się, że z moich oczu bije głęboka rozpacz. W oddali uderza piorun, dodając moim słowom grozy.*

*Przez twarz starca przepływa fala szoku mieszającego się z bólem. Dedal, tak mądry i pomysłowy, w tym jednym momencie w swoim życiu nie miał czasu, ani planu, aby uratować swój najcenniejszy skarb i dzieło. Jego własnego pierworodnego. Mogę jedynie wyobrazić sobie, jak bardzo teraz cierpi, śniąc niespokojnie o swoim nieżyjącym synu, który był dla niego całym światem. Niech poczują mój ból, emocje targające mną każdej chwili. Myśleli, że wykluczając mnie z Olimpu i wymazując me imię z historii pozbędą się problemu. Nic bardziej mylnego.*

*-Ikarze! Synu!*

*Głos Dedala drzy, a w jego oczach pojawiają się łzy, które w jednej sekundzie są pochłaniane przez wiatr. Starzec wie, że nie jest w stanie podjąć żadnego działania. Zamyka, więc oczy i zaczyna robić to, czego dokonuje, każdy śmiertelnik w chwili strachu i całkowitego braku nadziei na cud – modli się do bogów. Jeszcze za życia na Olimpie, zaobserwowałem, że ludzie lubią być niezależnymi, wolnymi istotami będącymi całkowicie oswobodzonymi od więzów wiary. Jednakże, gdy staje się coś okrutnego wszyscy postępują tak samo, zaczynają odmawiać błagalne modlitwy wpatrując się w horyzont nieba, usiłując udobruchać tym siły wyższe oraz zapobiec nadchodzącej katastrofie. Pomimo wcześniejszego zwątpienia i porzucenia wiary na rzecz wygodnego życia, zapominają jak często, gdy dzieje się coś wykraczającego poza ich umysł błagają nas na kolanach, abyśmy zmienili bieg wydarzeń.*

*Otrząsam się z osłupienia. Każdy sen wywołuje we mnie przemyślenia, które pojawiają się niczym piękne motyle, aby po chwili zginąć i dołączyć do swych poprzedników. Czuję, że zaczynam tracić kontrolę nad skrzydłami, które prezentują się jak szkielet, wcześniejszego cudu architektury stworzonego przez Dedala. Zaczynam spadać prosto w ramiona rozciągającego się pode mną morza.*

*-Przepraszam, ojcze! -z mojego gardła wydobywa się zduszony okrzyk, niesiony przez wiatr niczym ostrze, wbite po raz kolejny w serce Dedala.*

*Spadam w dół myśląc, że gdybym był jednym z ludzi, przerażenie wypełniałoby każdą cząstkę mojego śmiertelnego ciała. Czy Ikar żałował swej młodzieńczej głupoty? Jakie były jego odczucia, gdy zdał sobie sprawę, że skazał swojego ojca na samotność? Czy rozmyślał o straconych przez niego latach życia i rzeczach, które mógł dokonać będąc synem najwybitniejszego wynalazcy?*

*-Ikarze! Nie!! -pełen bólu i desperacji okrzyk Dedala przesywa świat.*

\*\*\*

Gdy wracam do krainy ogników, krzyk starca wciąż rozbrzmiewa w mojej głowie. Rozglądam się wokół siebie i padam na kolana. Czy obarczanie innych moim bólem jest w stanie coś zmienić? Ukojenie, które pojawia się przez kilka sekund, aby później zniknąć, pozostawiając po sobie jedynie pustkę? Czy nie postępuje równie okrutnie co pozostali bogowie, wykorzystując swój dar przeciwko ludzkiej istocie, które chcą jedynie zaznać ziemskiego życia?

Tak wiele pytań i myśli, które pojawiły się w mojej głowie i nie mogą znaleźć drzwi, pozwalających im wydostać się na zewnątrz. Tkwią wewnątrz mnie, gdyż poza mną, od wieków nie ma tu innej, żywej duszy, która mogłaby rozwiać moje wątpliwości i podzielić się własnymi. *Przeklęta samotność*. Wolałbym znaleźć się pomiędzy Scyllą a Charybdą, aby ta druga wciągnęła mnie w swój niekończący się wir i zakończyła, egzystencję opuszczonego boga snu, który samotności zawdzięcza jedynie szaleństwo. Nienawidzę, gdy dopadają mnie wątpliwości. Mimo ogromu nienawiści ciężącej mi na sercu, wciąż czuję ból i pozwalam sobie czasami na chwile słabości.

Kładę się na plecach zaprzeczając wszelakim prawą grawitacji miejsca, które już dawno uznałem za swoją celę. Wokół mnie migoczą ogniki, a ja, najpotężniejszy bóg, czuję łzy, płynące mozolnie po moich policzkach. Nie zadaję sobie trudu, aby je otrzeć. Po co, skoro nie ma tu nikogo poza mną? Mógłbym równie dobrze przechadzać się nago, jak Apollo i szczyścić się swym zewnętrznym pięknym. Podrywam się gwałtownie. Bóg muzyki, sztuki lekarskiej oraz wróżbiarstwa, że też wcześniej o nim nie pomyślałem!

Przede mną materializuje się ogień śpiącego Apolla. Fortuna zdaje się mi sprzyjać. Podnoszę rękę ku ognikowi. Zatrzymuje się jednak z wahaniem, gdy palec wskazujący, a migoczące światełko dzieli zaledwie centymetr. Co ja wyrabiam? Czyżbym całkowicie zwariował? Z drugiej strony, czy mam coś do stracenia? Chce poczuć coś nowego, przyjemnego. Od niepamiętnych czasów unikałem snów Apolla, ze względu na ich tematykę – miłość. Patrzenie na szczęśliwych w miłości kochanków, wywoływało zazdrość w moim sercu. Nie mam na myśli zazdrości o młodzieńca, którego również mógłbym obdarzyć tym uczuciem. Myślę, o szczęściu jakie daje owe uczucie. Choć nigdy nie przyznałbym się przed pozostałymi, tęsknię za nimi. Doskwiera mi brak jakichkolwiek intryg na Olimpie, rywalizacji i wspólnego ucztowania.

Mimo, iż każdy z bogów jest samolubny, tworzymy swego rodzaju rodzinę, która w chwili zagrożenia jest w stanie się zjednoczyć, jak to było w przypadku odwiecznych wrogów bogów Olimpijskich – Tytanów.

Nie myśląc ani chwili dłużej dotykam palcem ognika i pozwalam się przenieść w kolejny sen. Być może tym razem, wywoła on we mnie coś, poza do tej pory znanymi mi odczuciami – radością, że mogłem swą obecnością przyczynić się do przekształcenia sen w miłe, ulotne wspomnienie śniącego.



\*\*\*

*Jest piękny dzień. Przez znajdujące się wokół dwójki młodzieńców, bawiących się dyskiem drzewa, przebijają się promienie słońca oświetlające polanę. Wokół nich, toczy się zwykłe, leśne życie. Ptaki przelatują z jednego drzewa na drugie wyśpiewując przy tym różne pieśni. Kwiaty wraz z pozostałymi roślinami kołyszą się lekko na wietrze, roznosząc swe nasiona oraz zapach pośród znajdujących się w pobliżu istot. W oddali słychać spokojny nurt rzeki, przecinającej las oraz chichoty przyglądających się dwóm kochankom nimf. Pozostaję w cieniu drzewa w postaci ptaka i uważnie przyglądam się rozwojowi wydarzeń.*

*-Patrzcie! Czyż to nie, aby Apollo i jego przyjaciel Hiacynt? -dopytuje pozostałe jedna ze znajdujących się w rzece najad.*

*-Kalipso! Głupiaś! Przecie to piękny Hiacynt, kochanek Apolla!*

*Najada zwana Kalipso, wzdycha przeciągle wodząc palcami połączonymi błoną po nurcie rzeki.*

*-Moja droga, sama wiesz, jak skończyła nasza kochana Dafne, której uroda przyciągała Apolla z drugiego końca polany. Miłość, miłość! Same problemy! Że też strzały Amora są tak skuteczne wobec młodych! Same nieszczęścia się później dzieją! Nasza Dafne z pewnością nie zasłużyła na swój los! Lecz cóż zrobić? Sama wybrała taką, a nie inną drogę.*

*-Nonsens moja droga! -odpowiada trzecia z morskich piękności, ochlapując pozostałe dwie wodą. -Powinniśmy radować się faktem, iż nie skończyłyśmy jak Echo!*

*Najady kiwają głową ze zrozumieniem pochłonięte pięknymi ruchami ciał obydwu młodzieńcy.*

*-Czasami wciąż słyszę jej nawoływania rozbrzmiewające po dolinach i lasach. „Narcyzie, ukochany!” Nasza mała, słodka Echo! Tak bardzo lojalna wobec czcigodnego Zeusa przypłaciła to własnym nieszczęściem! -oznajmia ze szczerym smutkiem w głosie Polihymnia – pierwsza z najad.*

*-Porobiła się z tego wszystkiego stajnia Augiasza...*

*Wzbijam się w powietrze odlatując od rozgadanych nimf, cóż za irytujące stworzenia. Skupiam swoją uwagę na moim pierwotnym celu – parze kochanków. Przysiadam na gałęzi znajdującej się niespełna siedem kroków od rzucających do siebie nawzajem dyskiem młodzieńców stając się biernym obserwatorem ich poczyznań.*

*-Hiacyncie, tym razem rzucę mocniej!*

*Chłopak o fiołkowych oczach i burzy brązowych loków skacze wzbijając się w powietrze, aby złapać lecący w jego kierunku dysk. Opada z powrotem na ziemię wraz ze swoją zdobyczą szczerząc zęby w uśmiechu.*

*-Nieży rzut!*

*Apollo również przywołuje pełen radości uśmiech na swej twarzy, gdy widzi swą miłość tak bardzo rozradowaną. Uśmiech Hiacynta oraz towarzyszące mu za każdym razem dołeczki w policzkach, przyprawiają boga o szybsze bicie serca. Jest to widok, w który mógłby wpatrywać się godzinami tracąc przy tym poczucie mijającego czasu.*

*-Spodziewałeś się, że najładniejszy, najprzystojniejszy, najmądrzejszy i przede wszystkim najlepszy bóg spudłuje? -mówiąc to, Apollo posyła młodzieńcowi chytry uśmieszek oraz porusza brwiami, co wywołuje wybuch śmiechu u Hiacynta i lekki rumieniec, który stara się zakryć trzymanym przez siebie dyskiem.*

*-Niech Cię Amazonki dopadną za to bezczelne zachowanie!*

*Apollo rusza biegiem ku Hiacyntowi. Zanim ten drugi się orientuje, ląduje na ziemi przygniatany przez boga.*

*-Stanowisz zbyt łatwy cel dla Amazonek, mój drogi. -szepcze Apollo nachylając się nad brunetem i odsuwając jeden z niesfornych kosmyków, które opadły na jego czoło. -Muszę mieć Cię na oku, jesteś zbyt piękny, aby skończyć jako tarcza strzelnica, dla tych mających bzika na punkcie nienawiści do mężczyzn wariatek.*

*Hiacynt wstrzymuje oddech, gdy czuje na sobie dłoń Apolla, by po chwili wydać z siebie parsknięcie. Wyciąga przed siebie ręce starając się odepchnąć od siebie kochanka.*

*-Złaż ze mnie, ty gruba Amazonko.*

*Apollo chichocze przesuwając palcem po szczęce leżącego pod nim młodzieńca.*

*-Najpierw daj mi całusa.*

*Hiacynt przewraca oczami, ale posłusznie składa na ustach boga przelotny pocałunek.*

*Przyglądam się temu wszystkiemu z żalem w sercu. Dopiero teraz uświadamiam sobie, dlaczego tak wielu bogów wybrało sobie ziemskich kochanków – miłości do nich, nie była w stanie zatrzymać żadna bariera.*

*Młodzieńcy leżą na trawie spleceni w swych ramionach, tocząc ze sobą dyskusje na temat muzyki. Szczęście, które wywołuje wśród nich cieszenie się z obecności drugiej osoby, jest*

wręcz namacalne. Świat wokół nich wydaje się celebrować miłość, która zakwitła pomiędzy tę dwójką.

*-Rzuć mi jeden, ostatni raz!*

*Hiacynt przetacza się i wstaje, podając Apollo dysk. Przybiera pozycję gotową do biegu i odwraca się w stronę kochanka z promiennym uśmiechem na twarzy. -Zobaczmy jak szybko potrafię być!*

*Apollo wstaje z dyskiem zaciśniętym w swojej dłoni.*

*-Policzę do trzech, zgoda?*

*Hiacynt kiwa głową na znak, że nie ma nic przeciwko. Napina swoje mięśnie przygotowując ciało do wysiłku, jakiemu zaraz je podda.*

*-Raz...*

*Wstrzymuję oddech i czuję, jak moje serce się zaciska. Przez moje pióra przedziera się zimny wiatr, który przyprawia mnie o dreszcze.*

*-Dwa..*

*Mam dziwnie przeczucie, że zaraz stanie się coś na prawdę złego, chce coś zrobić, ale nie jestem w stanie się poruszyć. Wpatruje się jedynie w scenę rozgrywającą się tuż przed moimi oczyma.*

*-Trzy!*

*Apollo rzuca dyskiem w tym samym momencie, gdy Hiacynt rzuca się przed siebie biegiem. Ruchy młodzieńca są wyćwiczone, porusza się on z gracją tancerki i szybkością rydwanu zaprzęzonego w najszybsze konie. Jednak coś jest nie tak. Pośród konarów drzew wzbiera się wiatr. Mrozący krew w żyłach powiew dobiegający z zachodu. Zefir. Przyglądam się jak wiatr porywa w swe objęcia dysk, kierując go wprost w głowę biegnącego pod nim młodzieńca.*

*Apollo również zauważa niebezpieczeństwo zagrażające swemu kochankowi. Z przerażeniem w głosie ostrzega wciąż niedostrzegającego zagrożenia Hiacynta.*

*-Hiacyncie! Uważaj!*

*Hiacynt obraca głowę w kierunku swego ukochanego i to wystarcza, aby dysk uderzył w jego głowę.*

*-Nie! -wrzeszczy bóg, biegnąc w kierunku spoczywającego na ziemi Hiacynta. Bierze z czułością jego głowę na swe boskie kolanach i głaszczę delikatnie spoczywającego pod nim*

*młodzieńca. Łzy boga mieszają się z krwią, ciekąca z obszernej rany na głowie Hiacynta. Świat zamiera. Słońce zostaje przysłonięte przez chmury, a ptaki cichną. Wokół pogrążonego w smutku Apolla wykwitują kwiaty o fioletowej, białej i różowej barwie. Hiacynty.*

*-Hiacyncie! Wróć do mnie! -łkania boga niosą się po całej polanie. Nawet rozmowy najad ucichły.*

*Po raz pierwszy od niepamiętnego czasu, opuszczam sen. Nie sprawiam, że śniący budzi się z wrzaskiem ze swego łoża, po prostu uciekam przed bólem i smutkiem, jakie pozostały po ujrzeniu snu Apolla, który poruszył część mojego serca spisana już dawno temu na straty.*

\*\*\*

Straciłem poczucie czasu. Od momentu, w którym przyszło mi na własne oczy, ujrzeć jeden z koszmarów Apolla, błąkam się bez celu po mojej krainie pełnej kwitnących maków. Nie jestem w stanie odwiedzić kolejnych snów, czuje się jak zbieg starający się skraść czyjeś wspomnienie, bądź życiową tragedię. Jestem nikim. Zostałem pozostawiony sam sobie. Jakże łatwo odszedłem w niepamięć. Nikt nie czuje potrzeby, aby od czasu do czasu, wspomnieć moje imię. Nawet mój własny ojciec – Hypnos. Czuję się żałośnie. Jeden głupi sen, wywołał we mnie tak wiele ludzkich emocji, tych, które zawsze traktowałem z pogardą. *Wielki Morfeusz, użalający się nad własnym losem, niczym nierozsądne dziewczę.* Zrywam maki znajdujące się w zasięgu moich dłoni i porywam je na drobne strzępki, wtedy to słyszę. Wezwanie.

*„Morfeuszu!”* Głos w mojej głowie wypowiada zapomniane od dawna przez mój zmysł słuchu imię. Tracę równowagę w nogach i opadam na leśne runo. Nie, to nie może być prawda. Jednakże znowu, jakby na potwierdzenie moich myśli rozbrzmiewa ten cichy głos nawołujący imię. Moje imię. Jestem w szoku, czuję, że straciłem kontrolę nad ciałem, które znajduje się w chwili odrętwienia. Przede mną, pojawia się ogień, który świeci jaśniej, aniżeli wszystkie pozostałe, które przyszło mi oglądać na własne oczy. *„Proszę Cię, czcigodny Morfeuszu, synu Hypnosa, władco snu. Błagam Cię, moja najdroższa babcia umiera, pomóż jej. Umil jej ostatnie chwile!”*

Głos w mojej głowie nie cichnie. Nadal otępiały wykonuję dobrze znaną mi czynność. Skłamałbym, gdybym stwierdził, że tym razem zachowałem pełną świadomość własnych czynów. Dotykam pokrytymi lepkiem sokiem z maku palcami ognika i daję się przenieść w sen osoby, która umiera pamiętając o moim istnieniu.

\*\*\*

Nie ma tu nikogo oraz niczego poza stojącą ze spokojem staruszką wpatrzoną prosto we mnie.

-Więc tak wygląda bóg snu. -odzywa się jako pierwsza uśmiechając się przy tym lekko. Jej białe włosy okalają twarz, która pomimo brzemienia lat, wciąż pozostała piękna.

Nie umiem wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku. Słowa nie chcą się złożyć w zdania. Stoję bezruchu, nie mogąc dowierzyć, że wydarzenie, którego jestem świadkiem, dzieje się naprawdę.

-Och, Morfeuszu, nie bądź taki wstydlivy. Powiedzże coś starej, umierającej kobiecie.

-J-ja... -po moich policzkach zaczynają płynąć łzy, których nie jestem w stanie powstrzymać.

-Straciłem poczucie czasu, od momentu, kiedy ktoś, po raz ostatni wypowiedział moje imię.

Starucha, przypatruje mi się z zainteresowaniem. Przez jej oczy przebiega błysk.

-Ja pamiętałam. -stwierdza, jakby właśnie oznajmiła, co zjadła dziś w ramach posiłku.

Wpatruje się w nią i wybucham gromkim śmiechem. Śmiechem szaleńca, któremu nie pozostało już nic na świecie. Boga, który spędził w odosobnieniu zbyt wiele czasu, aby pozostać przy zdrowych zmysłach. Śmiech wydobywający się z głębi mej piersi miesza się z czarnymi łzami, wciąż ciekącymi po moich policzkach.

-Czy ja śnię? -podrywam gwałtownie głowę i przypatruję się kobiecie podejrzanie.

-Nie sędzę, kochanie. Jeśli ktoś tutaj śni, to ja. -odpowiada spokojnie. Jej postać przez chwile staje się niewidoczna, aby po chwili znów zmaterializować się przede mną. Jednakże tym razem kobieta ciężko dyszy klęcząc na swych kolanach.

-Zostało mi naprawdę mało czasu, Morfeuszu...

Mój wzrok spoczywa na kropelkach potu gromadzących się na jej czole. Musi wkładać nie lada wysiłek, aby podtrzymać łączność ze snem. Podchodzę do staruszki i pomagam jej wstać.

-Czy jest wobec tego coś, co mogę dla Ciebie uczynić?

Wpatruje się we mnie swoimi zielonymi oczami z widocznym błaganiem.

-Chciałam, aby mój mąż towarzyszył mi w ostatnich chwilach mojego życia. Jeśli jest to możliwe.

Przyglądam się kruchej staruszce, która nigdy o mnie nie zapomniała. Przepelnia mnie uczucie wdzięczności i szczęścia. Moje serce zdaje się radować. Już zapomniałem jak to uczucie potrafi... dodawać skrzydeł i motywacji do działania. Przywołuję w myślach profil męża staruszki. Z zaskoczeniem notuję, że zmarł kilka lat temu. Staram się jak najlepiej odzwierciedlić jego wygląd.

Przed nami pojawia się postać mężczyzny, na którego widok kobieta wydaje okrzyk radości. -Orfeuszu! -rzuca się w ramiona męża ściskając go mocno. Widzę łzy ciekące po twarzy staruszki oraz uśmiech, który wydaje się pochłaniać połowę jej twarzy. Zdaję sobie sprawę, że ja również się uśmiecham, a moje serce wypełnia dziwne ciepło. Choć czuję się niekomfortowo, przeszkadzając dwójce zakochanych w sobie ludzi, zdaję sobie sprawę, że to ja tego dokonałem. Dzięki mnie staruszka ostatnie chwile swego życia spędzi jako szczęśliwa ludzka istota.

Wewnątrz mnie coś się zmienia. Jeszcze nie jestem w stanie powiedzieć, co dokładnie. Tworzę wokół nas polanę pełną kwiatów. Pierwsze miejsce, w którym się pocałowali. Przyglądam się im jeszcze przez chwilę, po czym osuwam się w cień snu, wciąż szczerze się uśmiechając.

\*\*\*

-Mamo! -wrzeszczę nie mogąc uwierzyć własnym oczom. -Babcia! Ona się uśmiecha!

Mama wpada do pomieszczenia, w którym znajdują się wszyscy członkowie mojej rodziny gotowi, aby pożegnać najstarszą przedstawicielkę naszego rodu. Mama na widok swojej rodzicielki uśmiechającej się po raz ostatni zakrywa usta dłonią oraz wydaje z siebie cichy szloch. Ja również zaczynam płakać. Babcia. Moja kochana babcia. Tata bierze nas obie w swoje silne ramiona nie pozwalając, aby opuściły nas siły. Musimy być silni, tak jak chciała babcia. Dotykam ręką wisiora, który podarowała mi zaledwie dwa dni temu, mówiąc, że przetrzymała go już wystarczająco długo. Przedstawia kwiat maku. Gdy zapytałam się babci co symbolizuje, ona jedynie się uśmiechnęła i pogłaskała mnie po policzku. „Dowiesz się w swoim czasie, moje drogie dziecko”.

Dowiedziałam się. Znalazłam zapiski babci, które należały do pierwszej kobiety z naszego rodu, która śniąc pewnej nocy, napotkała w swoim śnie na boga, którego imię brzmiało Morfeusz.

-Gdzie się wybrała babcia? -pyta mój kuzyn mający pięć lat, kiedy przykrywamy babcię białym płótnem. Odeszła z uśmiechem na twarzy.

-Udała się, w objęcia Morfeusza. -odpowiadam uśmiechając się lekko. Wtedy jeszcze nie wiedziałam, że wypowiadając to zdanie, na zawsze przywróciłam do żywych zapomnianego przez ludzkość boga. Jednakże on wiedział. Oznajmił mi to nocy, w której przyszła moja kolej na podróż do krainy Hadesa. Nigdy nie zaznałam koszmarów, które czasami nawiedzały innych ludzi. Uśmiechałam się wtedy i spoglądałam w nocne niebo, mając nadzieję, że on również się uśmiecha.